

KENJI MIYAZAWA

Wielki Festiwal Wegetarian



Przekład z języka japońskiego:

Łukasz Szpunar

O autorze

Kenji Miyazawa — współczucie wobec wszystkich istot



Kenji Miyazawa, koniec lat 20. XX wieku. Fotograf nieznan. Archiwum Kamakura Museum of Literature; [Wikimedia Commons](#). Domena publiczna według opisu źródłowego.

Kenji Miyazawa (宮沢賢治, 1896–1933) był jedną z najbardziej niezwykłych postaci japońskiej literatury XX wieku. Poeta, autor opowiadań, nauczyciel, przyrodnik i gorliwy buddysta, swoje krótkie życie w dużej mierze poświęcił służbie innym. Choć za życia pozostawał niemal nieznan jako pisarz, po śmierci jego twórczość zyskała ogromne uznanie i na trwałe weszła do kanonu literatury japońskiej.

Urodził się w Hanamaki, w prefekturze Iwate, w zamożnej rodzinie prowadzącej lombard i handel używaną odzieżą. W 1918 roku ukończył Wyższą Szkołę Rolniczo-Leśną w Morioka. Głęboko poruszony naukami Sutry Lotosu, związał się z buddyzmem szkoły Nichirena. Pracował jako nauczyciel, a następnie porzucił tę posadę, aby uprawiać ziemię i pomagać ubogim rolnikom. W 1926 roku założył stowarzyszenie Rasu Chijin Kyōkai, w ramach którego przekazy-

wał chłopom wiedzę rolniczą, organizował wykłady i propagował sztukę jako nieodłączny element godnego życia.

Szczególne miejsce w jego światopoglądzie zajmowało **współczucie wobec zwierząt i głębokie przekonanie o wartości wszelkiego życia**. Miyazawa był etycznym wegetarianinem,¹ kierującym się nie tyle względami zdrowotnymi, ile sprzeciwem wobec zadawania cierpienia i odbierania życia innym istotom. W liście do przyjaciela, Kanai Hosaki, z 19 maja 1918 roku pisał: „Od wiosny przestałem jeść ciała żywych istot”. Jego postawa była zakorzeniona w buddyjskiej zasadzie niekrzywdzenia i współczucia (karuṇā, 慈悲 — jihi), ale znajdowała także wyraz w osobistej wrażliwości na cierpienie, lęk i pragnienie życia odczuwane przez zwierzęta.

Wrażliwość ta szczególnie wyraźnie ujawnia się w jego twórczości literackiej. Zwierzęta nie są w niej jedynie elementami przyrody ani alegoriami ludzkich zachowań. Mają własne doświadczenia, odczuwają strach, cierpią i pragną żyć. Miyazawa wielokrotnie próbuje przedstawić świat z ich perspektywy, podważając przekonanie, że interesy człowieka mają z natury większą wartość niż los pozostałych istot.

W jego twórczości powraca przekonanie, że **cierpienie innej istoty nie staje się mniej ważne tylko dlatego, że istota ta nie jest człowiekiem**. Świat zwierząt nie stanowi dla Miyazawy jedynie tła ludzkiego życia. Ludzie, ptaki, owady i inne stworzenia uczestniczą we wspólnej rzeczywistości narodzin, cierpienia i śmierci. Wynikające z tego poczucie współzależności łączy się u niego z buddyjskim ideałem bodhisattwy — istoty, która nie dąży do wyzwolenia wyłącznie dla siebie, lecz pragnie ulżyć cierpieniu wszystkich czujących istot.

¹Termin „weganizm” powstał dopiero po śmierci Miyazawy. Słowo vegan zostało utworzone w 1944 roku przez Donalda Watsona i współzałożycieli brytyjskiego The Vegan Society. W Japonii funkcjonowało natomiast pojęcie saishoku shugi (肉食主義, wegetarianizm), a także zapożyczone z angielskiego vegetarian, którym posługiwał się sam Miyazawa. Co ciekawe, w opowiadaniu „Wielkie święto wegetarian” rozróżnia on odmiany wegetarianizmu, w tym całkowite wykluczenie produktów pochodzenia zwierzęcego, również mleka i jaj.

Miyazawa urzeczywistniał ten ideał także w codziennym życiu. Żył skromnie, poświęcał czas i siły pomocy rolnikom, a własne potrzeby stawiał na dalszym planie. Jego działalność społeczna, twórczość literacka i troska o zwierzęta wyrastały z tego samego przekonania: nie można budować własnego szczęścia, pozostając obojętnym na cierpienie innych. Postawę tę odnajdujemy również w jego słynnym wierszu *Ame ni mo makezu* (雨ニモマケズ, Nie czuć trwogi przed deszczem), będącym wyrazem pragnienia życia pozbawionego egoizmu, poświęconego pomaganiu wszystkim potrzebującym.

Motyw podważania oczywistości ludzkiego panowania nad innymi istotami pojawia się w *Chūmon no ōi ryōriten* (注文の多い料理店, Restauracja wielu poleceń). Dwaj myśliwi, traktujący zabijanie zwierząt jako rozrywkę, trafiają do osobliwej restauracji, w której stopniowo odkrywają, że sami mają zostać przygotowani i podani jako posiłek. Odwrócenie ról zmusza ich do doświadczenia strachu zwykle będącego udziałem ich ofiar.

Wyczerpany ciężką pracą i zmagający się z chorobami, Miyazawa zmarł na zapalenie płuc 21 września 1933 roku, w wieku zaledwie 37 lat. Jego życie i twórczość stały się świadectwem niezwyklej konsekwencji w próbie urzeczywistniania buddyjskiego współczucia. Z czasem zaczęto nazywać go „bodhi-sattwą Kenjim” (賢治菩薩, Kenji-bosatsu).

W swoich *teishō* Harada Tangen Rōshi mówił, że Kenji Miyazawa był człowiekiem oświeconym. W świetle jego życia słowa te można odczytać jako uznanie dla współczucia, które nie pozostało jedynie religijnym ideałem, lecz stało się praktyką obejmującą wszystkie żyjące istoty.

opracowanie: Bunyū

KENJI MIYAZAWA

Wielki Festiwal Wegetarian

Czwartego września zeszłego roku uczestniczyłem, jako przedstawiciel wszystkich japońskich wyznawców, w Wielkim Festiwalu Wegetarian. Odbył się on w niewielkiej górskiej wiosce Hilty na wyspie Nowa Fundlandia. Ogólnie rzecz biorąc, my, wegetarianie – jak zapewne wielu z Państwa wie – stanowimy wspólnotę ludzi, którzy powstrzymują się od spożywania produktów pochodzenia zwierzęcego. W Japonii słowo „wegetarianin” tłumaczy się zwykle jako „zwolennik spożywania warzyw”, ale często oznacza to coś więcej niż tylko „zwolennika”. Może „wyznawca wegetarianizmu” byłoby zbyt mocne, ale jednak oddaje to, że chodzi o coś więcej niż samą ideologię – raczej o praktykę, która znajduje rzeczywiste zastosowanie w życiu. Oczywiście nawet wśród nas istnieją różne nurty, ale jeśli chodzi o ducha naszej wiary, można go zasadniczo podzielić na frakcję współczucia oraz frakcję zapobiegawczą. Takie przydomki zostały nadane przez osoby postronne, trochę dla żartu, ale doskonale oddają istotę rzeczy, więc i my nie mamy nic przeciwko ich używaniu.

„Fracja współczucia” – do której i my należymy – kieruje się poglądem zbieżnym z buddyzmem: wszystkie istoty żywe pragną za-

chować swoje życie i ani trochę nie różnią się w tym od nas. A mimo to, dla jednej osoby, by mogła przeżyć, odbiera się życie innym zwierzętom, zjadając je – i to nie raz dziennie, lecz nieraz setki czy tysiące razy w ciągu dnia. Obojętność wobec tego faktu wynika, naszym zdaniem, z braku refleksji. Gdyby choć raz postawić się na miejscu tych, którzy są zjadani, trudno byłoby nie poczuć współczucia i nie dojść do wniosku, że tak po prostu nie można postępować. Taka jest właśnie nasza myśl przewodnia.

Natomiast „frakcja zapobiegawcza” kieruje się nieco innym podejściem – ich głównym motywem jest zapobieganie chorobom poprzez unikanie produktów pochodzenia zwierzęcego. Innymi słowy, nadmierne spożycie mięsa czy mleka prowadzi, według nich, do reumatyzmu, podagry, złośliwych obrzęków i różnych innych niepożądanych skutków zdrowotnych. Dlatego przystępują do tej wspólnoty osoby, które nie chcą zachorować lub mają ku temu skłonności. Z tego też względu członkowie tego odłamu robią masło i ser z soi, zakładają szpitale wegetariańskie i prowadzą różnorodne działania w tym duchu.

Powyżej podzieliłem wegetarian na dwie główne grupy ze względu na ich motywację, ale można ich również sklasyfikować według sposobu praktykowania – wówczas wyróżniamy trzy grupy.

Pierwsza grupa to ci, którzy całkowicie wykluczają wszelkie produkty pochodzenia zwierzęcego – nie tylko mięso zwierząt i ryb, lecz również mleko, sery, masło, a nawet ciasta, takie jak zawierające jajka biszkopty. W Japonii oznaczałoby to także unikanie potraw z dodatkiem bulionu z suszonego tuńczyka. Takie podejście można znaleźć zarówno wśród frakcji współczucia, jak i frakcji zapobiegawczej, ale przeważają w nim osoby z tej drugiej grupy.

Druga grupa dopuszcza mleko, sery, masło czy jajka, uznając, że skoro ich produkcja nie wiąże się bezpośrednio z odbieraniem życia,

nie stanowi to poważnego problemu ani moralnego, ani zdrowotnego. To podejście jest stosunkowo umiarkowane.

Trzecia grupa, do której i my się zaliczamy, uważa, że nawet jeśli ktoś sam unika odbierania życia i żyje w czystości, to jeśli inne istoty cierpią – cała ta postawa traci sens. Ostatecznie rezygnujemy z jedzenia produktów zwierzęcych dlatego, że współczujemy zwierzętom i nie chcemy ich krzywdy. Ale nie należy przy tym popadać w przesadę, doprowadzając do sytuacji, w której skrupulatne unikanie nawet najmniejszych składników pochodzenia zwierzęcego prowadzi do nadmiernych trudności, zarówno dla siebie, jak i dla innych. Jeśli dla ocalenia wielu istnień niezbędne byłoby poświęcenie jednego życia, to wtedy – choćby z płaczem – można je spożyć. I jednocześnie, gdybyśmy sami mieli być tym jednym, którego życie zostanie poświęcone, nie będziemy tego unikać. Taka sytuacja to jednak rzadkość, a na co dzień powinniśmy przede wszystkim wybierać pokarm roślinny i nie zabijać zwierząt. Trzeba bardzo uważać, by nie zatracić ducha współczucia, skupiając się tylko na własnym czystym sumieniu.

W ten sposób, jak sądzę, zrozumieli już Państwo po trosze, kim jest wegetarianin, więc teraz opowiem o przebiegu zeszłorocznego wielkiego święta.

Do portu Trinity na Nowej Fundlandii przybyłem dokładnie dwa dni przed rozpoczęciem święta. Początkowo obawiałem się, że nie zdążę na czas, więc wielce się ucieszyłem, że wszystko potoczyło się po mojej myśli. Płynąc statkiem, poznałem sześciu podróżnych z Turcji – ich przewodnikiem był doktor nauk geologicznych. Po zakończeniu festiwalu cała szóstka miała udać się ponoć na wyprawę badawczą w północne rejony Kanady.

Zaraz po zejściu ze statku przystąpiliśmy do przygotowania ekwipunku i wyruszyliśmy w drogę do wioski Hilty. Szczerze

mówiąc, kiedy wyruszałem z Japonii, myślałem, że wystarczy dotrzeć na Nową Fundlandię i od razu będzie widać, gdzie znajduje się wioska Hilty. Zakładałem, że wzrok wszystkich będzie tam skierowany, że podróżni z całego świata będą nieprzerwanie zdążać w tym kierunku, więc i ja bez trudu odnajdę drogę. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna. Choć przez przypadek poznałem tych sześciu Turków na statku, to po zejściu na ląd w Trinity nie było widać żadnych afiszy, ogłoszeń, nikt nie mówił nic o miejscu zwanym „Hilty”. Prawdę mówiąc, jako że sam też byłem tym nieco zaskoczony...

[Dalszych kilku stron rękopisu brak]

...Opuściliśmy miasteczko portowe i ruszyliśmy wzdłuż wąskiej ścieżki prowadzącej wzdłuż białych nadbrzeżnych klifów. Niebo było zachmurzone, a Atlantyk przypominał matową, zardzewiałą blachę cynkową. Jesienny wiatr podnosił białe grzbiety fal, a między nimi przemykało wiele małych kutrów rybackich ustawionych w rzędach. Dolne gałęzie modrzewi zdążyły już przybrać brunatny kolor.

Turcy zatrzymywali się co jakiś czas, przykładali młotki do wystających na drodze skał i ożywionym głosem prowadzili rozmowy. Ja szedłem za nimi samotnie, niosąc pustą walizkę z Japonii – pustą nie w sensie dosłownym, ale jakby z wewnętrznej pustki. Po mniej więcej półtorej godzinie marszu dotarliśmy do najwyższego punktu jednej z nadmorskich przełęczy.

„Z tego miejsca powinno już być widać wioskę Hilty” – powiedział po angielsku doktor geologii, przewodniczący grupy, podchodząc do mnie z mapą w ręku. Wszyscy wyteżyliśmy wzrok, skupiając się na roztaczającym się przed nami krajobrazie. Na dnie doliny porośniętej gęsto cyprysami dało się zauważyć pięć czy sześć białych

ścian domów. Do doliny wpływało morze w odcieniu głębokiego błękitu, wdzierając się głęboko niczym fiord.

„Czy to tam jest Hilty?” – zapytałem przewodnika. Ten przez chwilę porównywał mapę z rzeczywistym ukształtowaniem terenu, po czym poprawił lekko okulary i powiedział:

„Tak, to właśnie wioska Hilty. Nasz kościół to prawdopodobnie ten trzeci z prawej, z płaskim dachem. Zdaje się, że powiewa tam jakaś flaga. To tam mieszka pan Davis.”

Davis – jak być może niektórzy z Państwa wiedzą – to nasz mentor, starszy naszej wspólnoty, redaktor naczelny miesięcznika „Wegetarianin” i przewodniczący tegorocznych uroczystości. Na te słowa wstąpiła w nas nowa energia i prawie biegiem zeszliśmy z przełęczy. Turcy, na swoich długich nogach i z ciężkimi plecakami, zbiegali niczym opilki żelaza przyciągane przez magnes...

[Dalszych kilku stron rękopisu brak]

Rozglądając się po otoczeniu, szliśmy w grupach po trzy do pięciu osób, opierając się na kijach. Wśród uczestników było też sporo kobiet. Spotkałem również człowieka o żółtawej cerze – wyglądał jak Chińczyk. Długo przyglądałem się jego twarzy, a on także zatrzymał się i spojrzał na mnie. Mimo że tamtego dnia ostatecznie nie zamieniliśmy ani słowa i rozeszliśmy się w milczeniu, nie miałem wątpliwości, że on również był wegetarianinem i przybył na Wielki Festiwal.

Dotarliśmy do kościoła. Był to skromny budynek z tynkowanymi ścianami, w niektórych miejscach popękanymi. Najpewniej dawniej mieszkał tu pan Davis. Choć prosty, obiekt był naprawdę przestronny. Flagi i lampiony, w połączeniu z gałązkami cyprysu i jemiolą, tworzyły starannie przemyślaną dekorację. W środku było jeszcze siedem czy osiem osób, które pilnie się krzątały, przygotowując wszystko

na pojutrze. Stanęliśmy w przedsionku kościoła i nacisnęliśmy dzwonek. Zaraz pojawił się pełen energii starszy pan o rumianej twarzy i siwych włosach – wyszedł z pokoju obok, a w rękę trzymał młotek...

[*Dalszych kilku stron rękopisu brak*]

...wszedł, trzymając dziesięć egzemplarzy małej broszurki wydrukowanej na różowym papierze.

„Dzień dobry. Nic się nie stało, wręcz przeciwnie – to wręcz uroczu.”

„Dzień dobry. Czy mógłbym jedną obejrzeć?” – zapytałem.

Wziąłem do ręki broszurkę. Mam ją zresztą do dziś. Napisane w niej było tak:

Odrzucamy zacofany i niecywilizowany wegetarianizm

Rozprawa o zasadzie ludności Malthusa, w sensie jakościowym, nie budzi dziś żadnych wątpliwości. Jej istotą jest to, że powierzchnia ziemi, na której może zamieszkiwać ludzkość, jest stała. Zasoby żywności zwiększają się zaś w postępie arytmetycznym, podczas gdy populacja rośnie w postępie geometrycznym. Innymi słowy, ilość żywności dla ogółu ludzki będzie się stale zmniejszać. Żywność dla ludzkiej populacji, mówiąc ogólnie, pochodzi z trzech źródeł: roślin, zwierząt i minerałów. Z minerałów nadają się do spożycia jedynie woda i sól. Resztę stanowią mniej więcej po połowie rośliny i zwierzęta. Tymczasem oto pojawia się grupa ludzi o wąskich horyzontach i ponurym usposobieniu, którzy twierdzą, że nie wolno jeść zwierząt, bo to „biedne stworzenia”, i próbują narzucić ten pogląd całemu światu. To właśnie są wegetarianie. Ich twierdzenie sprowadza się do tego, że chcą pozbawić ludzkość połowy źródeł żywności. Innymi słowy – czyż nie oznacza to, że wegetarianie planują zagłodzić na śmierć połowę populacji świata, czyli około jednego miliarda

ludzi? W każdym współczesnym systemie prawnym zabójstwo to najcięższe z przestępstw. Choć pośrednio, również i wegetarianie nie mogą uciec przed winą. Jest więc jasne, że niebawem komisje z różnych krajów zbiorą się, by omówić tę sprawę i surowo ukarać winnych. Ta sytuacja unaoczni także wewnętrzną sprzeczność poglądów wegetarian. Mówią oni, że nie jedzą zwierząt, ponieważ je kochają. Ale dlaczego w imię tej miłości gotowi są pozwolić umrzeć z głodu miliardowi ludzi? Czyż ludzie nie są również zwierzętami?”.

„To jest dopiero coś! Co za rozumowanie! Niezwykle oryginalny wywód. Naprawdę, przeżabawne!” – wybuchnął śmiechem doktor geologii z Turcji, aż jego pulchna twarz cała się trzęsła. Wszyscy pozostali również się śmiali. W każdym razie wszyscy zdjęliśmy piżamy, zeszliśmy na dół, wypłukaliśmy usta i umyliśmy twarze. Następnie szybko zjedliśmy proste śniadanie i ponieważ ceremonia miała się rozpocząć o dziewiątej, przez chwilę czekaliśmy, odpoczywając na werandzie.

Nagle, tuż obok kościoła, w niebo wzbił się sygnałowy ogień. Niebo było bezchmurne, czyste jak tafla lapis-lazuli. Na tym krystalicznie przejrzystym błękitnie natychmiast rozkwitł pióropusz białego dymu, a za nim rozwinął się spływający w dół długi żółty dym. To bez wątpienia była sztuczna chińska ognista „spadająca smocza wstęga”, dobrze znana z pokazów fajerwerków w Japonii.

Wtedy doznałem olśnienia: „To pan Chen odpalił ten sygnał! To on przygotował chińskiego, żółtego smoka jako pokaz fajerwerków!”. Ogromnie się ucieszyłem i natychmiast objaśniłem towarzyszom, co właśnie widzieli. W tej samej chwili ponownie zabrzmiał dźwięk porannej, donośnej trąbki, dochodzący gdzieś z oddali.

„Idą, idą! No, zobaczmy, jakie to towarzystwo” – odezwał się doktor geologii, wychodząc na czoło. Całą gromadką zeszliśmy hałaśliwie do sieni.

W tym momencie podjechał wielki czerwony samochód ciężarowy. Na jego burcie widniał biały napis: „Związek Hodowców w Chicago”. Wysiadło z niego sześciu mężczyzn z włosami sterczącymi na wszystkie strony, ubranych tylko w koszule, z twarzami purpurowymi od emocji. Krzycząc coś głośno, rozsiewali wokół ulotki w kolorach szarości i brązu. Podniosłem jedną z nich. Napisano na niej czerwonymi literami: „Odrzućmy wegetarianizm o wąskich horyzontach i pozbawiony podstaw naukowych. Twierdzenia wegetarian są całkowicie błędne. Przyjrzyjmy się tej ponurej, nieakademickiej ideologii z perspektywy psychologii zwierząt. Wegetarianie mówią, że nie jedzą zwierząt, bo jest im ich żal. Ale skąd wiadomo, czy zwierzętom jest »żal«? Tylko człowiek tak myśli, że im żal. Przecież na przykład świnie nie mają takich wyższych pojęć jak »śmierć«. U nich to działa tak: »jestem głodna → gryzę łydę rzepy → smaczne → znudziło mi się → śpię → budzę się → zatkałam nos → chrząkam → głodna → jem otręby → smaczne → zmęczona → śpię«... i tak dalej. Po prostu małe teraźniejszości następują jedna po drugiej. To, że świnia piszczy przed zabiciem, dzieje się tylko dlatego, że się ją ciągnie za nogę albo uderza. Na dowód – spróbuj dla żartu związać świnie nogę i ją za nią pociągnąć, nie planując wcale jej zabić, tylko szykując dla niej na później choćby trzydzieści jajek – i tak będzie piszczeć. Taki już mają odruch. Więc jeśli naprawdę chcesz być dla świnie dobry, najlepiej będzie po cichu dać jej coś pysznego, nie denerwując jej, a potem znenacka wrzucić ją do wrzółka – wtedy będzie w siódmym niebie, włos się sam z niej zsunie. W naszym Związku właśnie w ten sposób uszczęśliwiamy mnóstwo świń. A wegetarianie tego nie wiedzą. Oni myślą, że skoro sami nie chcą umierać, to wszystkie zwierzęta też tego nie chcą. Cóż za dziecinne rozumowanie”.

Próbowałem się na siłę roześmiać, ale jakoś nie mogłem. Doktor geologii po przeczytaniu żółtej ulotki również miał trochę dziwną minę. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Następnie, bez słowa, zamieniliśmy się ulotkami. Na żółtej ulotce było napisane tak::

„Precz z ograniczonymi i przeczącymi nauce wegetarianami! Twierdzenia wegetarian są całkowicie błędne. Spróbujmy teraz skrytykować je z punktu widzenia klasyfikacji biologicznej. Wegetarianie mówią, że nie jedzą zwierząt, bo im żal zwierząt. Ale gdzie się właściwie kończą zwierzęta, a gdzie zaczynają rośliny? Krowa i ameba to niby zwierzęta, więc ich szkoda, a bakteria to roślina, więc ją można zjeść bez problemu – tak? To, że bakterie są »roślinami«, a ameby »zwierzętami«, to tylko roboczy podział przyjęty dla wygody badań naukowych.

A może chodzi o to, że zwierzęta mają świadomość, więc szkoda je zjadać, a rośliny nie mają, więc można? Rzeczywiście, rośliny na pierwszy rzut oka wyglądają na pozbawione świadomości. Ale czy naprawdę jej nie mają? Kiedy się patrzy z innej perspektywy, to jakby jednak miały. Bo zasadniczo świat organizmów żywych to jedno wielkie kontinuum. Jeśli zwierzęta potrafią myśleć, to rośliny zapewne też. Drodzy wegetarianie, jeśli jesteście konsekwentni, przestańcie jeść także rośliny i rozgłaszajcie tę ideę po całym świecie. Umrzecie z głodu. Wtedy dwa miliardy ludzi też umrą – zrobi się bardzo czysto i spokojnie. Wasze marzenie się spełni. A potem zwierzęta i rośliny będą się nawzajem zjadać. Czyż to nie piękne?”

Naprawdę poczułem się jeszcze dziwniej. Była jeszcze jedna ulotka – brązowa.

„Czy jeśli już pan przeczytał, to się wymienimy?” – zapytałem sąsiada.

„Dobrze” – odpowiedział szybko i podał mi swoją brązową ulotkę. Ja również wręczyłem mu swoją.

Na brązowej widniał czarny napis:

Precz z ograniczonymi, przeczącymi nauce wegetarianami!

Poglądy wegetarian są całkowicie błędne. Wyjaśnijmy to teraz w bardzo przystępny sposób, z punktu widzenia anatomii porównawczej.

Człowiek z punktu widzenia zoologii jest stworzony do diety mieszanej. Widać to chociażby po kształcie jego zębów: ma trzonowce jak u roślinożerców, ale też kły jak u mięsożerców. Dla człowieka najbardziej naturalna jest dieta mieszana. Tak zostaliśmy stworzeni – nic się na to nie poradzi. Krytykować to znaczy wypowiadać posłuszeństwo łaskawej naturze. Dajcie spokój, drodzy wegetarianie. To zbyt ponure, a na dodatek dziecinne myślenie”.

„Hm. Te ulotki tym razem są całkiem wiarygodne. Rzeczywiście zawierają argumenty, jakie każdy mógłby użyć” – odezwał się doktor geologii, lekko zbliadły.

„Nie tylko są dziwne w tonie – cała ta argumentacja jest tak zmontowana, żeby im pasowała. To po prostu reklama związku hodowców zwierząt” – powiedział pewien Turek.

W tym momencie znowu odezwała się trąbka. Dał się też słyszeć dźwięk silnika benzynowego. Szczerze mówiąc, moje serce mocniej wówczas zabiło. Ponownie nadjechał czerwony samochód i wysypały się z niego małe białe kartki. Z pośpiechem zaczęliśmy czytać nową ulotkę. Było na niej napisane czerwonymi literami:

„Do wszystkich Szanownych Wegetarianów: Choćbyście, drodzy państwo, nie wiem jak się starali, jedząc tylko ziemniaki, kapustę i trochę maki, na wybrzeżu i tak łowi się za dużo ryb, co staje się już problemem. To ryby, które umarły na próżno, nikt ich nie je, więc wszystkie są ładowane łopatami do kotłów. Kiedy się ugotują, są wyławiane i wrzucane do pras. Z tego, co zostaje w kotle, otrzymuje się olej rybny; obecnie jedna puszka kosztuje 10 centów. Jeśli to sardynki,

wtedy jedna puszka to mniej więcej 700 ryb. Z tego, co zostało po wyciśnięciu, powstaje mączka rybna po sześć centów za kilogram; jeśli to sardynki, wtedy mamy około 500 ryb na kilogram. Proszę państwa, niech was nie zemdli na wybrzeżu ani na farmach, bo właśnie dzięki tej mączce rybnej kapusta i zboże rosną wyjątkowo dobrze. Na dodatek, żeby wyhodować jedną główkę kapusty, trzeba usunąć ponad 100 gąsienic. I jeszcze jedno. Gdy będą państwo w tym mieście coś gotować albo korzystać z gorącej wody, uważajcie, żeby nie zakręciło się wam w głowie. Jak wiadomo, gaz w tym mieście nie pochodzi z węgla, tylko z suchej destylacji oleju rybnego. Spotkamy się jeszcze innym razem, aby opowiedzieć o tym dokładniej”.

Kiedy skończyliśmy czytać tę ulotkę, zapadła cisza. Wydawało się, że przeciwna strona zwycięża w bitwie na argumenty. Mimo to ani ja, ani sześciu wiernych, którzy przybyli z Turcji, nie mieliśmy zamiaru rezygnować z wegetarianizmu ani zgadzać się z tamtą stroną. Po prostu czuliśmy się nieswojo, bo na samym początku tak wielkiego święta dostaliśmy niemiłą prztyczek w nos. Trudno było to zbyć śmiechem, ta złośliwość była zbyt dotkliwa. Wtedy znów od strony kościoła pojawił się sygnał dymny, po czym na błękitnym niebie biały dym nagle się rozprysł, rozległo się „puk, puk”, a z dymu wyłonił się chiński, pięciokolorowy kwiat lotosu.

„Aha, to znowu pan Chen”, pomyślałem. Zrobił dokładnie to, o czym jest mowa w sutrach: „niebieskie światło, żółte światło, czerwone światło, białe światło...”. Patrzyłem na to z głębokim podziwem. Rzeczywiście, płatki lotosu spływały w dół, lekko połyskując, na świeżym, porannym niebie nad wioską Hilty na Nowej Fundlandii, podczas Wielkiego Święta Wegetarian. Potem od strony kościoła rozbrzmiała wesoła muzyka. Ponieważ wiatr wiał właśnie w naszą stronę, słyszeliśmy ją wyraźnie, jakby była na wyciągnięcie ręki. Brzmiało to zupełnie jak profesjonalna orkiestra. Pomyśleliśmy

sobie, że musiało to kosztować nieźle pieniądze i że pewnie zamówili orkiestrę z kontynentu, ale później się okazało, że to sam słynny Snyder należy do naszych wegetariańskich współbraci. Snyder, razem ze swoją orkiestrą (z której połowa, nawiasem mówiąc, też była wegetarianami) przybył tu przedwczoraj, podobnie jak i my.

Tak czy inaczej, choć do rozpoczęcia ceremonii pozostawała jeszcze godzina, robiło się coraz bardziej gwarno i uroczyście, więc nie mogliśmy już spokojnie czekać i szybko wróciliśmy na piętro, żeby się przebrać w urozyste stroje. Turcy założyli szkarłatne turbany i pasy, szczególnie doktor geologii, który ozdobił swój czarny żakiet medalami i odznaczeniami otrzymanymi w różnych krajach, i cały tak lśnił, że aż trudno było patrzeć. Ja natomiast włożyłem biały lniany surdut, który zamówiłem w Mitsukoshi, choć oczywiście nie był to strój zgodny z etykietą, tylko z moim własnym gustem. W gruncie rzeczy odzienie – choć w duchu Wschodu służy także ochronie przed chłodem – zgodnie ze słowami Carlyle’a przede wszystkim jest ozdobą. Dlatego najlepiej, gdy człowiek nosi to, co naprawdę do niego pasuje. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. W końcu ubiór nie jest dla nas samych, bo nie widzimy go przecież, nosząc go na sobie – jest dla innych. Jeśli więc ktoś inny, widząc nas, poczuje się estetycznie odświeżony – to wystarczy.

Następnie opuściliśmy nasz zajazd. Ale jak się okazało, nie tylko my z niecierpliwością wyczekiwaliśmy rozpoczęcia ceremonii. W drodze do kościoła, w bocznych uliczkach i na placach napotykaliliśmy grupki po trzy, cztery osoby, wszystkie odświętnie ubrane. Byli tam i panowie we frakach, i rolnicy w grubych, wełnianych surdutach z surowej tkaniny, ludzie z orderami na piersi, a także smukły, młody lekarz wojskowy. Wszyscy oni byli naszymi braćmi. Dlatego bez względu na narodowość, klasę, zawód czy imię, wszyscy pozdrawialiśmy się jak równi sobie:

„Dzień dobry” – mówił jeden.

„Gratulacje” – odpowiadał drugi.

Niepostrzeżenie utworzyliśmy procesję, która wkrótce weszła przez bramę kościoła. Jeszcze przedwcześniej nie zwracaliśmy na tę małą furtkę szczególnej uwagi, ale dziś była ona pięknie udekorowana czerwonymi glonami i ciemnozielonymi gałęziami jodły, przez co zupełnie zmieniła swój wygląd. Zaraz za bramą znajdował się punkt rejestracyjny i wszyscy zostaliśmy poproszeni o okazanie legitymacji członkowskich. Może się to wydać nadmiernie rygorystyczne, ale biorąc pod uwagę poranne antywegetariańskie ulotki, nigdy nie było wiadomo, kto może się wkraść i co uczynić, nie było więc innego wyjścia.

Miejsce ceremonii urządzono na rozległym dziedzińcu przy kościele, gdzie rozpostarto wielki namiot cyrkowy, obejmujący nawet korty tenisowe, które znalazły się w jego wnętrzu. Trudno sobie wyobrazić, by na całej wyspie Nowa Fundlandia znalazła się sala zdolna pomieścić taką liczbę gości. Wewnątrz około dwustu uczestników już zajmowało miejsca, niecierpliwie oczekując rozpoczęcia. Zawszą słysząc było rozchodzący się śmiech – pewnie znów rozmawiano o porannych ulotkach. Szary brezent, który okrywał konstrukcję namiotu, ozdobiono w poprzek i wzdłuż czarnymi gałęziami świerku, a tu i ówdzie wpleciono jasnożółte i pomarańczowe kwiaty różaneczników. Pogoda była piękna, a brezent lekko przeświecał w słońcu, tworząc harmonijną, prawie bajkową atmosferę. Wydawało się, że to nie tymczasowy namiot, lecz przyszły marmurowy sufit Wielkiej Światowej Świątyni Wegetarianizmu.

Po drugiej stronie wznosił się wysoki, udekorowany kwiatami ołtarz. W tym momencie znów usłyszałem dźwięk sygnalizacji dymnej i nagle oprzytomniałem. Szybko pobiegłem za kościół, w stronę, skąd dobiegał dźwięk. I rzeczywiście – to był pan Chen. Tym razem przy-

prowadził ze sobą dwóch małych chińskich pomocników, również ubranych po chińsku. Wszyscy troje mieli na sobie tradycyjne stroje, i muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie odczułem takiego szacunku dla chińskiego ubioru jak tego ranka.

Pan Chen ubrany był cały na czarno, miał białe lśniące mankiety i buty, fryzurę jak dzień wcześniej, a na piersi nosił chiński order. Jego mali pomagierzy wyglądali zupełnie jak te chińskie dzieci z obrazków. Głowy mieli ogolone, jedynie z paskiem włosów pośrodku. Stali za panem Chenem, a dłonie z szacunkiem trzymali splecione przed sobą. Gdy tylko Chen zobaczył, że podszedłem, widać było, jak bardzo się ucieszył. Natychmiast wyciągnął rękę i powiedział:

„Gratulacje! Dzień dobry! Piękna pogoda, niech ci niebiosa sprzyjają!” – I zasypał mnie pozdrowieniami.

„Dzień dobry” – odparłem i uścisnęliśmy sobie dłonie. Dwójka małych pomocników, wciąż trzymając ręce splecione, skłoniła mi się z szacunkiem. Ja też szczerze się ucieszyłem. Pod błękitnym niebem Nowej Fundlandii otrzymałem ten pełen czci, dalekowschodni gest.

Pan Chen powiedział:

„No dobrze, odpalimy jeszcze jedną. Następną dopiero po ceremonii. Ta nazywa się w mojej ojczyźnie *Liuyun feichou*: ‘Liu’ to *Salix babylonica* – wierzba płacząca, a ‘feichou’ to jaskółka. Mówicie w Japonii o wierzbie i jaskółce?”

„Mówimy. I chociaż nie pamiętam dokładnie, to zdaje mi się, że u nas też istniała taka rasa. A może to były fajerwerki? Albo coś o kemari i wierzbie?”

„W Japonii miejscem znanym z fajerwerków jest most Ryōgoku w Tokio, prawda?”

„Tak, ale też Iwakuni, Ishinomaki i inne miejsca.”

„Rozumiem. No to zaczynajmy” – powiedział Chen, zwracając się do dzieci. Jedno z nich z szacunkiem wyjęło z koszyka ładunek sygnałowy. Chen przyjął go i dokładnie obejrzał, po czym powiedział:

„W porządku. Załadować!”

Drugie dziecko już czekało z lontem w ręku i Chen go wziął. Pierwsze dziecko szybko zapaliło zapalnik, a Chen przytknął do niej lont i prędko wrzucił ładunek do rury sygnałowej. Po chwili rozległo się głośne *BUUM*, a kula sygnałowa wraz z dymem poszybowała ku niebu z prędkością pociągu. Dwoje dzieci z szacunkiem złożyło ręce i patrzyło w górę. Wkrótce na niebie pojawił się biały dym, po czym rozległy się wybuchy *pop-pop*, a wśród błękitnego dymu rozwijała się zielona jak wierzba smuga. Między nią wirował czarny kształt w formie jaskółki, który przeszywał niebo.

„Chodźmy na miejsce ceremonii. Wy zostaniecie tu i będziecie pilnować” – pan Chen zwrócił się do dzieci po angielsku, które uprzednio nam się ukloniły, a my wróciliśmy do namiotu, gdzie miała się odbyć ceremonia. Do jej rozpoczęcia zostało już tylko sześć minut. Przy wejściu do namiotu otrzymaliśmy program. Na jego stronie tytułowej widniał napis:

Program Wielkiego Święta Wegetarian

- Przemówienie powitalne
- Dysputa i kontrargumenty
- Wspólny śpiew uroczystej pieśni
- Modlitwa
- Przemówienie zamykające
- Wspólny posiłek
- Przedstawienie członków
- Występy artystyczne

— Koniec programu —

Gdy dostaliśmy program, było dokładnie pięć minut przed dziewiątą.

Na miejscu ceremonii było tłoczno. Widać, że liczbę uczestników dokładnie przemyślano, bo prawie nie było pustych krzeseł – i oczywiście nikt nie stał. Można było przypuszczać, że zebrało się około pięciuset osób. Około jednej trzeciej z nich stanowiły kobiety. Różnorodne stroje i barwy mieszały się z gdzieś tam rozmieszczonymi bukietami pomarańczowych i niebieskich kwiatów, a jesienne powietrze było tak przejrzyste jak woda. Wierni, zupełnie odmienni niż wcześniej, teraz w całkowitej ciszy oczekiwali rozpoczęcia ceremonii.

Tuż pod łukowatym ołtarzem orkiestra pod batutą Snydera uformowała półokrągły szyk. Po lewej stronie znajdowały się miejsca dla chóru. Słyszałem, że wśród jego członków był również Glocco z Kanady, ale nie potrafiłem go rozpoznać.

Tymczasem po prawej stronie orkiestry, poniżej ołtarza, ustawiono dwa ceramiczne szyldy z napisami „Miejsce dla heretyków” i „Miejsce dla odszczepieńców”. W każdej z tych sekcji siedziało około dwudziestu ubranych odświętnie osób. Wśród nich było wielu ludzi, których widzieliśmy dziś rano jadących samochodami.

Ja również zająłem miejsce obok pana Chena, na samym końcu. Pan Chen zdawał się wyraźnie przejmować, nieustannie porównując program z miejscami przeznaczonymi heretyków i odszczepieńców. W końcu szepnął do mnie:

„Ten punkt programu, „Dysputa”, pewnie właśnie ci ludzie będą przemawiać, prawda?”

„Na pewno tak” – odpowiedziałem.

„Co o nich sądzisz? Ci z sekcji odszczepieńców w porównaniu z naszymi wyglądają jakoś... mniej okazałe, czyż nie?”

Uśmiechnąłem się:

„Tak, chyba masz rację.”

Na to pan Chen znów się odezwał:

„Lecz w porównaniu z tymi z miejsca dla heretyków i tymi z miejsca dla odszczepieńców jest między nimi jednak wielka różnica. Ci z miejsca dla heretyków wyglądają naprawdę odrażająco.”

„Dokładnie tak.” W końcu wybuchnąłem śmiechem, bo naprawdę ci z miejsca dla heretyków byli wszyscy paskudni.

Nagle w całej sali rozległ się czysty dźwięk dzwonka. Rozległy się burzliwe oklaski. Starzec Davis, o siwej brodzie i rudawym obliczu, ubrany w skromną czarną suknię, wszedł na ołtarz. Wyglądał na tak szczęśliwego, że zdawało się, iż nie może nic powiedzieć, stał tylko i wzruszony zaczął płakać. Wierni oszaleli z entuzjazmu – wiwatowali i klaskali. Starzec Davis próbował mówić, machał rękami, lecz głos uwiązł mu w gardle i wydobywał z siebie dziwne dźwięki, aż w końcu znów zaczął płakać.

Thum przywitał to gorącymi oklaskami. Starzec po chwili odzywał panowanie nad sobą, energicznie pomachał trzykrotnie rękami i zaczął coś wykrzykiwać, ale i tym razem się załamał i ponownie zaczął płakać.

Wtedy drugi kapłan, William Tapping, misjonarz z Jawy, starszy, postawny mężczyzna, wyszedł, nie mogąc patrzeć na tę scenę, i stanął obok starca. W sali zapanowała całkowita cisza.

„Droży Państwo, naczelnny kapłan właśnie teraz milczeniem wyraził sto tysięcy słów. To jest naprawdę szlachetne oświadczenie inaugurujące ceremonię. Jednakże pozostały jeszcze kwestie niewypowiedziane przez naczelnego kapłana. W rzeczywistości są one odpadkami pośród tego, co naczelnny kapłan pragnął powiedzieć. Wicekapłan pragnie je teraz Państwu przekazać i nie powinien być za to potępiany.

Jak Państwo wiecie, znosiliśmy wiele prześladowań, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, i do dziś podtrzymywaliśmy postulatory sympatyków wegetarianizmu. A jednak pozostało to społecznie bezsilne, ograniczone do jednostek. Ale dziś jesteśmy świadkami mocnej jedności sympatyków wegetarianizmu – wspa-
niałego, ośmiościennego kryształu solidarności, wielkiego festiwalu wegetariańskiego, który wykrystalizował się tutaj, na tej czystej wyspie, jaką jest Nowa Fundlandia, pod jej wrześniowym niebem.

Szczególnie podczas tego wielkiego święta jest wołą boską, byśmy doświadczyli pewnych przyjemnych prowokacji. Czym są te przyjemne prowokacje? To debaty tych, którzy zajmują miejsca „heretyków” i „sekciarzy”, jak podano w programie. Ci ludzie, podobnie jak Państwo wierni, przybyli ze wszystkich stron świata – to przyjaciele prawdy, każdy z nich opowiadający się za swoją doktryną i przekonaniami. Prawdopodobnie ich debaty będą bardzo intensywne i surowe. Im bardziej ostre i jasne będą, z tym większym zapałem zamierzamy na nie odpowiedzieć. To jest przemówienie inauguracyjne wielkiego festiwalu, część ostatnich odpadków. Wicekapłan William Tapping wygłosi teraz to przemówienie w imieniu naczelnego kapłana Henry’ego Davisa.

Oklaski rozbrzmiały tak gwałtownie, że płócienny namiot zdawał się falować. W międzyczasie Davis, głęboko wzruszony, po prostu się kołysał, potrząsając głową. Pośród oklasków starzec Davis został odprowadzony ze sceny przez wicekapłana, a przez miejsce ceremonii przetoczył się dźwięk czystego dzwonu. Następnie wicekapłan Tapping wszedł na ołtarz, usiadł na krześle w rogu platformy, po czym na chwilę wstał i lekko skinął w stronę miejsc „heretyków”.

Z miejsca przeznaczonego dla „innowierców” wyszedł wysoki, korpulentny mężczyzna we fraku, stanął przed stołem, lekko się uklonił, po czym z energią w głosie przemówił:

„Mam dwa pytania wobec też wegetarian. Po pierwsze, stopień strawności pokarmów roślinnych jest znacznie mniejszy niż pokarmów zwierzęcych. Oczywiście, skoro pokarmy zwierzęce zawierają prawie zero węglowodanów, musi się je czerpać z roślin. Jeśli jednak chodzi o białka i tłuszcze, to pokarmy roślinne są trudniej strawne. Nie wystarczy po prostu spojrzeć na tabelę i powiedzieć, że wartość odżywcza wołowiny i orzeszków ziemnych jest taka sama i zastąpić wołowinę orzeszkami. Dla niektórych osób białko roślinne jest niemal zupełnie niestrawne. Przypuszczam, że wegetarianie są tego świadomi, czyż jednak można zastosować tę dietę u osób słabych, starszych czy niemowląt?

Po drugie, pokarmy roślinne nie są tak smaczne jak zwierzęce. To jest coś, czemu nie da się zaprzeczyć. Posiłek nie służy tylko odżywianiu, ale jest także przyjemnością. A raczej nie tyle przyjemnością, co niezbędnym odświeżaczem ducha. Kiedy zmęczeni pracą, otoczeni różnymi troskami i zniechęceni, nucimy sobie czasem jakąś pioseczkę, rozmawiamy, słuchamy muzyki, oglądamy przedstawienia lub wychodzimy na małą wycieczkę – to wszystko bardzo pomaga. Podobnie jedzenie jest środkiem regenerującym ciało i ducha. Uważam, że wegetarianizm znacznie zmniejsza tę przyjemność. Zwłaszcza jeśli to, co jemy, sprawia nam przyjemność – wtedy też lepiej się trawi. Co myślą o tym wegetarianie?”

Ton wypowiedzi był bardzo łagodny i rozważny, więc oczywiście nagrodziliśmy go oklaskami. Wówczas z naszej strony trzy osoby podniosły ręce i wstały, kierując się do wicekapłana, który jednak zawołał pierwszego starszego mężczyznę z przodu. Był to człowiek z białą brodą, także ubrany w czarny strój przypominający strój duchownego. Wszedł na mównicę i powiedział poważnym tonem:

„Chciałbym teraz odpowiedzieć na zadane pytania... Jest jasne, że trawienie tłuszczów i białek roślinnych nie jest tak dobre. Jednak nie

jest też ono bardzo złe – po prostu jest nieco gorsze niż w przypadku pokarmów zwierzęcych. Raczej nie ma ludzi, którzy w ogóle nie trawią białek i tłuszczów roślinnych; jeśli tacy są, to prawdopodobnie nie trawią też białek i tłuszczów zwierzęcych. Dlaczego trawienie białek roślinnych jest trudniejsze? Wydaje się, że ma tu znaczenie struktura cząsteczek białka, natomiast słabsze trawienie tłuszczów wynika z faktu, że są one często zamknięte w ścianach komórkowych zbudowanych z włókien celulozowych. Jednak w miarę przechodzenia na dietę roślinną trawienie stopniowo się poprawia. Istnieją też wyniki różnych eksperymentów, którym później będzie się można przyjrzeć.

Oczywiście są osoby chore, starsze czy niemowlęta, które na pewno nie mogą jeść samych roślin. Nasza grupa nie zamierza zmuszać takich osób do roślinnej diety. Chodzi raczej o to, że nie powinno być czymś naturalnym, by zwierzęta wzajemnie się pożerały – i nie chcielibyśmy, aby tak się działo. Jeśli nawet starsi i chorzy nie chcą mięsa, staramy się tworzyć dla nich łatwo przyswajalne produkty roślinne, na przykład poprzez częściowy rozkład białek do prostszych form.

Po drugie, twierdzenie, że posiłek jest przyjemnością i że roślinna dieta tę przyjemność odbiera, jest opinią osób preferujących mięso. Owszem, gdy ktoś spożywa mieszane pokarmy, warzywa zwykle są mniej smaczne od mięsa. Lecz jeśli podczas jedzenia mięsa myśli się o cierpieniu zwierząt, to mięso traci swój smak, a trawienie jest utrudnione. Po roku czy dłużej na diecie roślinnej mięso zaczyna być nieprzyjemne ze względu na zapach i smak. Smak, podobnie jak inne zmysły, zależy nie tyle od obiektu, ile od wrażliwości samego zmysłu, a dokładniej – od jego moralnej jakości, dobra lub zła. Dobry zmysł odczuwa dobrze, nawet jeśli to, co odczuwa, jest neutralne, a zły zmysł nawet dobre rzeczy odczuwa źle. Dla przykładu, woda

smakuje inaczej osobom o wysokiej cnotliwości i tym, którzy są jej pozbawieni.

Święci w klasztorach, którzy jedzą chleb, sól i wodę, potrafią odczuć w chlebie subtelne smaki skrobi, białek, enzymów, cukrów prostych i tłuszczów. Jeśli chleb jest żytni, cieszą się dobrymi cechami żyta. To dlatego, że ich zmysły są spokojne. Potrafią cieszyć się różnymi rodzajami wody – twardą, z dwutlenkiem węgla, zimną, miękką – wszystko to traktują jako subtelny rozkosz. Jeśli zmysły są pobudzone i rozdrażnione, smak staje się coraz gorszy i mniej wyrafinowany. Zazwyczaj prawdziwy smak chleba jest zagłuszany przez mnogość przypraw. Zatem przyjemność nie jest zarezerwowana wyłącznie dla mięsożerców. Wręcz przeciwnie – czysta, przejrzysta, nieskończona radość i spokój są w diecie roślinnej.”

Starszy mężczyzna uklonił się i zszedł z mównicy. Oklaski zatrzęsły namiotem, niemal go przewracając. Wicekapłan spojrzał w stronę miejsca dla „innowierców”, skąd wstał chudy mężczyzna o bladym obliczu i krótkich, ostrzyżonych włosach. Wicekapłan lekko się uklonił, a mężczyzna również odpowiedział ukłonem i wszedł na mównicę. Spojrzał z ironicznym wyrazem na zgromadzonych, rozejrzał się po całej sali, po czym przemówił:

„Myślę, że wszyscy przeczytaliście rano pięć-sześć broszur, które wam wręczyliśmy. Przyznam się, że jestem członkiem zarządu Związku Hodowców Zwierząt w Chicago oraz inżynierem w ubojniach. Jednak szczerze mówiąc, Związek Hodowców w Chicago wcale nie odczuwa zagrożenia z powodu tego wielkiego święta wegetarian. Bo, jak powiedział poprzednik, ludzie żyjący w stylu trapistów stanowią dziś mniej niż jedną dziesięciotysięczną część ludzkości. Dla zwykłych ludzi mięso pozostaje pożywieniem bogatym w wartości odżywcze, a dodatkowo smacznym.

Wegetarianie mogą starać się realizować i propagować swoją dietę, i chociaż budzi to podziw, to jednak inni raczej łatwo was nie naśladową. Popyt na mięso nie spadnie, a nasz związek ani firmy przez to nie upadną. Dlatego nie trzeba było organizować żadnej kontreklamy ani specjalnie się starać, abym poczuł się niewygodnie, siedząc kilka godzin w namiocie, w tak zaszczytnym miejscu przeznaczonym dla 'innowierców'.

Lecz tak się składa, że od czerwca przebywam tu na letnim wypoczynku. Trafiłem na to święto, a że to moja profesja, pomyślałem, że dla zabawy mogę wam trochę pokrzyżować plany. Zgłosiłem się do centrali, a tam prezes i inni byli bardzo zainteresowani i zgodzili się, przekazali też fundusze na działalność, a nawet pięciu inżynierów do pomocy. Wzięliśmy się więc ostro do roboty – każdy z nas przygotował własną broszurę, wynajęliśmy samochody i rozprowadziliśmy je wszędzie, gdzie się dało. Ale prawda jest taka, że nie obchodzi nas wcale, czy jecie same warzywa, czy coś innego. Skoro już się jednak zaangażowaliśmy, postaram się jeszcze raz każdemu wyjaśnić, o co chodzi w naszych broszurach, i wysłuchać waszych odpowiedzi. Mam też stenografa, a wasze odpowiedzi opublikuję w naszym czasopiśmie „Przyjaciel Hodowli Zwierząt”. Chciałbym zadać wam pytanie, które także jest w broszurze: mówicie, że nie jecie mięsa, bo współczujecie zwierzętom. Ale zwierzę to po prostu maszyna, w której zachodzą takie czynności jak trawienie, wchłanianie, wydalanie, krążenie i rozmnażanie. Zwierzę nie myśli o strachu przed śmiercią, jutrzejszej chorobie czy zerwaniu z kimś kontaktów – nie zawraca tym sobie głowy. Układ nerwowy zwierzęcia istnieje tylko dla instynktu i impulsu, działa bardzo słabo. Przykładem jest przymusowe tuczenie kur: wkłada im się rurkę do gardła i wciska pięć lub sześć razy więcej pokarmu niż zwykle, a kury przybierają wtedy na wadze, co jest naprawdę zadziwiające. Inny przykład to badanie wy-

dzielania soku żołądkowego u psa: przecina mu się klatkę piersiową, odsłania tylne części żołądka, odłącza od jelit odźwiernik, podłącza do gumowej rurki i podaje pokarm. Czy sądzicie, że pies zje? Co się stało?”

Coś się naprawdę stało. Z powodu tak drastycznych słów kilka kobiet – cztery czy pięć – zasłabło, a inne zaciskały zęby, płakały, zasłaniały uszy i kurczyły się ze strachu. W sali zapanował nagły zamęt i hałas, a technik z Chicago, stojąc na scenie, był wyraźnie zdezoorientowany. Ludzi, którzy stracili przytomność, przeniesiono na zewnątrz, a około dwunastu–trzynastu lekarzy wyszło, by im pomóc. Po chwili w sali zapanowała cisza. Kobiety były bardzo rozgniewane, lecz ponieważ przeciwnikiem był herezjata, nikt nie odważył się zgłosić sprzeciwu, aby nie wyglądać na tchórzliwego. Technik z Chicago, starannie wycierając usta chusteczką, kontynuował:

„Rzeczywiście, współczucie wegetarian wobec zwierząt jest ogromne. Postaram się mówić bardziej delikatnie. Tak, psy jedzą to — naprawdę jedzą. Rozumiecie? Ponadto hodowlane zwierzęta są kastrowane, by oszczędzać energię, która w przeciwnym razie poszłaby na rozmnażanie. W ten sposób zwierzęta tyją. Zwierzę jest maszyną: jeśli chcesz, by biegało szybko, każe się mu biegać, jeśli chcesz, by przybrało na wadze, karmi się je, aby dać jaja, trzyma się kury w gnieździe, a by pozyskać mleko, trzyma się młode blisko, ale nie pozwala mu ssać. To wszystko jest kwestią kontroli. Nie ma powodu do niepokoju. Miałbym jeszcze wiele do powiedzenia, ale boję się, że znowu ktoś zemdleje, więc na tym skończę.”

Mężczyzna zszedł ze sceny. Oklaski wybuchły, a sześć czy siedem osób z naszej strony wstało, lecz zastępca księdza wskazał na młodego mężczyznę w surducie znajdującego się z przodu. Ten spokojnym tonem i lekko się uśmiechając, zaczął przemawiać:

„Pytania, które padły, są oczywiście jak najbardziej zasadne. Wspomniano o pewnych eksperymentach, ale niestety, nie są one właściwymi eksperymentami. Powiedziano, że zwierzęta kierują się jedynie instynktem i impulsem, i niech tak zostanie. Ten instynkt i impuls to pragnienie życia – i to jest sedno sprawy. Zabijanie ich jest niewłaściwe – to odpowiedź wystarczająca sama w sobie. Jednak szczegółowe badania psychologii zwierząt dostarczają nam jeszcze wielu informacji. Zwierzęta to nie tylko instynkt i impuls. Jak napisano w broszurze, życie to wielkie kontinuum. Emocje ludzkie rozciągają się od podobnych do naszych do bardziej odległych. To, co boli człowieka, boli także zwierzęta, które czują, choć w różnym stopniu. Zwierzęta nie są w stanie odczuwać radości jak świnie przedstawione w broszurze. Znane są przykłady psów, które nie odstępowały grobu swojego młodego pana aż do śmierci z głodu, czy sarny i małpy, które oplakują zabite potomstwo. Konie pamiętają właścicieli i płaczą, gdy ich spotykają po latach. Przeciwnicy wegetarian twierdzą, że próbują oni narzucać zwierzętom ludzkie uczucia, ale ja uważam, że oni sami zapominają o prawdziwym, rodzącym się z serca uczuciu współczucia wobec zwierząt. Każdy chce widzieć rzeczy po swojemu, ale nie wszystko da się w ten sposób wytłumaczyć. Nasze emocje nie są przypadkowe – prawdziwe uczucia są obiektywnie prawdziwe. Zwierzęta naprawdę cierpią. Ludzie również bywają naprawdę nieszczęśliwi. Proszę wszystkich, także przeciwników, aby spojrzeli na świat trochę głębiej, bez podnoszenia tonu.

Oklaski wybuchły gwałtownie. Z tłumy, z miejsca oznaczonego dla „heretyków”, wstał nagle wysoki mężczyzna z długimi włosami i wszedł na podium.

„Jestem technikiem ze Związku Hodowców w Chicago. Panowie, na pewno przeczytaliście rano dyskusję opartą na teorii populacji

Malthusa. Jak sądzicie, czy można temu zaprzeczyć? Połowa pożywienia ludzkości na ziemi pochodzi ze zwierząt, połowa z roślin. Jeśli rezygnujemy z jedzenia zwierząt, to tym samym rezygnujemy z połowy dostępnego pożywienia. A przecież już teraz jest za mało jedzenia, co powoduje wojny i różne niepokoje społeczne. Próba zmniejszenia podaży żywności o połowę, niezależnie jak logicznie by to brzmiało, wydaje się aktem szaleństwa. Miliard ludzi umrze z głodu, a przed śmiercią będzie wiele zamieszek i chaosu. Co wtedy zrobią wegetarianie? Włączą się do wojny, by pokonać wrogie kraje, chwytając za broń? A może powiedzą: „O Boże, to nie tak miało być” i wszyscy razem skoczą do Niagary czy gdzieś indziej? Takie działania nic nie zmieniają. Nie, każdy polityk w każdym kraju od razu by to zauważył. To ewidentnie złe, więc—ku waszemu nieszczęściu—skazuję was wszystkich na dożywocie. Pewnie nie na karę śmierci, ale dożywocie też nie jest czymś przyjemnym. Jak myślicie? Może teraz żałujecie i przerwicie, póki jeszcze możecie?”

W sali rozległy się śmiechy i oklaski. Po naszej stronie wstał pewien młody mężczyzna w garniturze i podeszedł do mównicy.

„Znam tego człowieka. Rozmawiałem z nim kilka razy w Nowym Jorku. Studiuje na uniwersytecie.”

Młody człowiek, trochę rozgniewany, rozpoczął swoją przemowę.

„Postaram się odpowiedzieć na wasze pytania jak najprościej. Żywność dla ludzkości składa się mniej więcej w połowie ze zwierząt, a w połowie z roślin. Twierdzenie, że jeśli nie zjemy zwierząt, to zapasy żywności zmniejszą się o połowę, jest rozsądne, lecz wydaje się trochę przesadzone. Założenie, że połowa to połowa, jest błędne. Co dokładnie oznacza ta połowa? Prawdopodobnie uwzględnia się wagę, ale porównywanie wagi bywa bardzo mylące. Gdybyśmy porównywali ilość energii, jaką dostarczają strawione produkty, byłoby to znacznie bardziej precyzyjne. W takim ujęciu produkty

zwierzęce mają wyższą strawność, więc wychodzi na to, że są znacznie bardziej korzystne. Jednak nie można po prostu przyjąć, że jest to dokładnie połowa.

Dotąd nie było potrzeby prowadzenia tak niezwykłych dyskusji, więc przypuszczam, że nikt jeszcze tego dokładnie nie wyliczył, dlatego pozwólcie, że przedstawię metodę obliczeń. Proszę w biurze Związku Hodowców w Chicago dokładnie to wyliczyć. Polega ona na ustaleniu, jaka jest całkowita produkcja pszenicy, jęczmienia, ryżu, owsa, rzepy, kapusty i innych produktów spożywczych na świecie. Najpierw należy odjąć te ilości, które zjadają zwierzęta hodowlane – proszę się nie dziwić. Następnie z tej reszty należy obliczyć strawność białka, tłuszczów i węglowodanów, obliczyć ilość energii, którą dają, i zsumować. Wyjdzie około 4300 bilionów kilokalorii. Podobnie obliczamy ilość energii pochodzącą z mięsa bydła, owiec, świń, koni, drobiu i wielorybów. Wyjdzie około 2300 bilionów kilokalorii. Razem daje to około 6600 bilionów kilokalorii. Dzielimy to na dwa miliardy ludzi i 365 dni w roku. Proszę poprosić instytut żywieniowy o sprawdzenie tych obliczeń – na pewno wam to potwierdzą.

Tymczasem jednak rozważmy najważniejszą odpowiedź na pierwsze pytanie: argument, że jeśli nie zjemy zwierząt, to żywność zmniejszy się o połowę, jest bez sensu. Skąd się biorą zwierzęta? One nie żywią się powietrzem, skałami czy wodą. Krowy, konie i owce jedzą owies i trawę, a także dynię i rzepę. Zwróćcie uwagę: to, co ludzie jedzą, zamiast bezpośrednio spożywać zboża i warzywa, jest najpierw podawane zwierzętom. Utrzymanie jednej krowy wymaga ośmiu akrów pastwiska. Na tym samym obszarze można wyprodukować pszenicę, która wystarczyłaby na żywność dla dziesięciu osób przez cały rok. A co z mięsem? Przez rok krowa może przybrać na wadze 160 kg, co stanowi 160 kg mięsa. Czy ta ilość

wystarczy, żeby wyżywić dziesięć osób przez rok? To zaledwie 50 gramów mięsa na osobę dziennie, czyli mniej więcej wielkość trzech kciuków. Czy to nie jest za mało, żeby się najadła? Wygląda na to, że nie do końca to zrozumiałe, więc powiem krótko: jeśli ludzie naturalnie porozumieliby się i zaoferowaliby nam coś, co mogłoby bez strat zastąpić wołowinę lub wieprzowinę, to mogliby zapewnić pożywienie dla jeszcze większej liczby ludzi niż obecnie. Chodzi o to, że po tamtej stronie (czyli w hodowli) można by dostarczyć znacznie więcej pożywienia. Oczywiście nie wliczamy w to żywności pochodzącej z mórz czy odpadów. Jednak nawet uwzględniając te czynniki, jest w porządku. Zwierzęta gospodarskie nie służą tylko do jedzenia – niektóre, jak owce, dostarczają wełny, inne, jak konie czy krowy, służą do pracy.

Po drugie, argument, że jeśli pożywienia będzie o połowę mniej, to ludzi też będzie o połowę mniej, jest ciekawy, ale w rzeczywistości pożywienia raczej nie ubywa, a może nawet trochę przybyć. Dlatego nie ma się czym martwić – wojny nie wybuchną, nie musicie się też obawiać dożywotniego więzienia.

Przeciwnie, dieta roślinna uspokaja serca wszystkich, umożliwia wzajemną miłość i sprawiedliwość. Wiele religii zakazuje jedzenia mięsa, co jest ważnym rytuałem – to właśnie to pokazuje, jak ważne jest to dla pokoju. Dieta roślinna przyniesie wam wieczny pokój, więc nie musicie wynajmować samochodów czy organizować dziwnych protestów podczas dużych zgromadzeń, co przyprawia kobiety o omdlenia. My też nie dostaniemy dożywocia – wręcz przeciwnie, otrzymujemy wiele medali i listów pochwalnych od takich organizacji jak Związek Ssaków, Liga Ptaków, Biuro Rybołówstwa i innych. Więc gdy to zrozumiecie, dołączcie do wegetarian”.

Wtedy wstał poprzedni mówca. Na twarzy miał wyraz skruchy, choć wyglądało, jakby powstrzymywał się od śmiechu. Powolnym krokiem wszedł na podium i powiedział:

„Skruszony. Od dzisiaj też zostanę wegetarianinem”.

Wszyscy głośno klaskali. Obaj zeszli do nas, a technik usiadł na wolnym miejscu, ledwo łapiąc oddech. Wśród „innych wierzeń” wybuchła jednak wielka złość. Jeden z mężczyzn, również wyglądający na technika, wszedł bardzo agresywnie na podium...

„Szanowni Państwo, rozwieście moje wątpliwości. Nie ma wyraźnej granicy między zwierzętami a roślinami. Jak napisano w broszurze, jest to tylko klasyfikacja stworzona przez ludzi według ich uznania. Jeśli współczujecie zwierzętom, to powinniście też współczuć roślinom. Pierwotniaki wśród zwierząt i bakterie wśród roślin są niemal nierozłączne. Są zwierzęta podobne do roślin, jak stulbie i koralowce, a istnieją też rośliny „śpiące” – takie, które potrzebują „przeszkadzania” w nocy, żeby nie zwiędły, i rośliny mięsożerne, które mogą łapać małe ptaki, a niektóre mogą nawet zabić człowieka. Natomiast bakterie były jeszcze niedawno klasyfikowane przez systematyków jako zwierzęta, teraz są zaliczane do roślin, ale to jest raczej przypadek. Takie niejasno zaklasyfikowane „zwierzęta” są oczywiście chronione przez pełnych dobroci wegetarian, którzy ich nie jedzą i nie zabijają.

A jednak, gdy jecie trochę sałaty z octem, do żołądka trafia i ginie od stu do dwustu miliardów bakterii. Gdy jecie kiść winogron, ile tam jest bakterii i drożdży? A kiedy oddychacie powietrzem w mieście, możecie zabić nawet do dziesięciu tysięcy bakterii na jeden oddech. Żyjąc w ten sposób, mówię wam: jestem wegetarianinem i nie jem wołowiny, ale wołowina nie jest nawet jedną setną życia, które codziennie niszczę, jedząc rośliny. To jest hipokryzja albo głupota i nie ma sensu o tym rozmawiać.

Jeśli naprawdę współczujecie zwierzętom, to przestańcie jeść i zabijać rośliny. Żeby przestać zabijać zwierzęta i rośliny, najpierw pijcie tylko wodę z odrobiną soli. Woda powinna być czysta, źródłana, świeża – bo po pewnym czasie pojawią się w niej bakterie. Oddychajcie tylko powietrzem z gór lub lasów, a nie z miasta. Idźcie wszyscy gdzieś w spokojne góry, pijcie dobrą wodę, jedzcie sól kamienną i tam organizujcie ten wielki wegetariański festiwal. Nie możecie tu wdychać tego powietrza! Nie możecie!”

Podniosły się śmiechy i oklaski, ale większość słuchała w milczeniu i zadumie. Ten mężczyzna, bardzo z siebie zadowolony, zerknął na swojego znajomego, który niedawno wyznał skrucę i został wegetarianinem, po czym wrócił na swoje miejsce.

I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, pan Chen, który do tej pory siedział ze skrzyżowanymi rękami, nagle wstał. Ubrany w chiński strój, stanął przy ołtarzu, spojrzał na mnie przez chwilę, lekko się ukloniwszy, a potem spokojnie i płynną angielszczyzną zaczął wygłaszać kontrargument:

„Szanowni Państwo, ta argumentacja jest bardzo interesująca, i sam chciałbym przestać oddychać tym powietrzem, ale pozwólcie, że przedtem udzielę krótkiej odpowiedzi. Proszę pozwolić mi jeszcze przez chwilę oddychać...

Właśnie teraz padła teza, że wegetarianie powinni pić wyłącznie sterylną wodę, jeść skały i żyć na wysokości co najmniej dwóch tysięcy stóp nad poziomem morza. Owszem, są wśród nas osoby, które intensywnie badają syntezę cukru z tlenku węgla i wody. Ale tutaj najbardziej interesowała nas ciągłość organizmów żywych, więc spróbujmy to zastosować.

Istnieje mianowicie ciągłość od ludzi – przez ssaki, ptaki, gady, ryby, stawonogi, mięczaki, pierwotniaki – aż do roślin: bakterii, paproci, roślin kwiatowych itd. Ponieważ istnieje ta ciągłość, to jeśli

współczujemy zwierzętom, powinniśmy też współczuć wszystkim żywym organizmom. Mówicie, że nie można jeść ani ścinać roślin kwiatowych, bo to też byłoby dla nich krzywdą, ale ciągłość nie kończy się na tym.

Weźmy inny przykład: życie człowieka to także ciągłość: okres niemowlęcy, dzieciństwo, młodość, wiek dorosły, starość. Jest to jednak tylko wygodny, umowny podział, w rzeczywistości nie ma wyraźnych granic. Więc gdyby czterdziestolatek został posłem, to czy noworodek też musiałby ubierać się w frak i występować publicznie? A jeśli uczymy w pierwszej klasie podstaw alfabetu, to czy na uniwersytecie nie powinniśmy uczyć tego samego zamiast bardziej skomplikowanych teorii?

Albo weźmy inną sytuację: psychika normalna i chora (np. psychoza) stanowi ciągłość, więc powinniśmy albo zamknąć szpitale psychiatryczne, albo wszyscy tam trafić. Takie dziwaczne argumenty mogą się stosować wyłącznie do kwestii wegetarianizmu, ale to tylko dowód na to, że osoby je wygłaszające nie przemyślały tego głęboko ani nie próbowały naprawdę wcielić ich w życie. Takie sytuacje często się zdarzają. Nawet jeśli coś jest ciągle, oba jego końce znacznie się różnią. Spójrzcie na widmo słoneczne: ma siedem kolorów, na obu końcach czerwony i fioletowy, a pośrodku żółty. Różnią się, więc nie da się tego zmienić. Oczywiście powinniśmy współczuć także roślinom. Święci z Indii rzeczywiście zakazywali bez powodu ścinać trawę czy deptać kwiaty. Jednak różni się to znacznie od zabijania krów – to oczywiste. Nie wiemy, czy wraz z oddalaniem się od człowieka w budowie ciała świadomość słabnie, ale kiedy jemy rośliny, nie mamy tak wielkich wyrzutów sumienia. Tak to jest zorganizowane.

Jeśli chodzi o bakterie, to zabijanie ich jest zupełnie inne niż zabijanie konia. Bakterie dzielą się i giną bardzo szybko, stale się zmie-

nają. Nie wiemy dobrze, czy bakterie mają świadomość, ale naturalnie nie rozmyślamy przesadnie, czy zabijanie bakterii jest złe, czy nie. I dobrze, że tak jest. Taka jest sytuacja. Jednak gdy kultura ludzka i uczucia się rozwijają, może to się zmienić – tego nie wiemy. Święci z Indii nie pili nieprzefiltrowanej wody; zwykły materiał zatrzyma pierwotniaki, ale bakterie przejdą. Niezależnie od tego, co teoretycznie można powiedzieć, jeśli my sami tak nie czujemy, musimy to zaakceptować. Prędzej czy później teoria to potwierdzi.

Mencjusz, filozof z mojego kraju, powiedział, że osoby o wysokiej cnotliwości nie patrzą, jak zabija się bydło czy przyrządza mięso. To bardzo umiarkowane podejście. Natura nie zastawia takich pułapek. My chcemy stosować dietę wegetariańską w zgodzie z naszymi możliwościami zmysłowymi i panującymi wokół nas warunkami. Dlatego nie uciekam teraz w góry”.

Po tych słowach pan Chen powrócił do mnie w burzy oklasków. Gdy okazywałem mu swój szacunek, na mównicę wszedł kolejny dyskutant.

„Chciałem omówić tę sprawę bardziej szczegółowo, jak napisałem w broszurze, ale te bezładne i nudne dyskusje sprawiły, że rozboliła mnie głowa, więc powiem tylko jedno. Ryby i tak umrą, nawet jeśli wy ich nie będziecie jeść. Sardynki albo zostaną zjedzone przez ludzi albo połknięte przez wieloryby. Drożdżik zostanie zjedzony albo przez ludzi albo przez jastrzębia. Czy sardynki i drożdżiki nie wolałyby raczej być zjedzone przez litościwych wegetarian niż przez wieloryby czy jastrzębie z ostrymi dziobami? Poza tym spokój człowieka nie bierze się z tego, że jest wegetarianinem. Mamy w rolnictwie naukę o szkodnikach, a rolnicy stosują środki owadobójcze, palą i miazdzą robaki, żeby je zabić. Jeśli ktoś je mięso wieloryba, to skoro zje jednego, ocali w ten sposób milion sardyn. Ale skoro ktoś zje jedną

główkę kapusty, oznacza to, że zabił sto gąsienic. Działania są więc całkowicie przeciwne do waszych przekonań. Co o tym myślicie?”

Wtedy natychmiast wstał kolejny.

„Odpowiem w ciągu minuty. Po pierwsze, to, że ryby umierają, nie jest powodem, abyśmy musieli je jeść. Po drugie, nie wiadomo, czy ryby cieszą się, że je zjadamy. Nie możemy sobie tłumaczyć, że ponieważ ktoś i tak je zabije, to my możemy to zrobić z premedytacją. Istnieje nawet przekonanie, że jeśli ludzie nie będą łapać ryb, to morza się nimi zapełnią – ale takie rozumowanie jest błędne. Przecież gdybyśmy mieli roztrząsać wszystkie pośrednie kwestie, to nigdy nie byłoby im końca. My po prostu nie robimy tego, co uważamy za złe. Wiemy, że warzywa też ponoszą ofiarę, więc ważne jest, by nie marnować jedzenia. Jednak uprawa zbóż nie zabija aż tylu owadów. Jeśli porównamy jedynie skrajne przypadki, można wymyślić do nich dziwaczne argumenty, ale ostatecznie po prostu robimy to, co uważamy za słuszne”.

Publiczność biła brawo. Mężczyzna zeszedł z mównicy. Spośród przeciwników wstał wysoki, tego zbudowany mężczyzna z czerwonymi włosami, które sterczały mu na boki, o wschodnim wyglądzie, który z gniewem, wielkimi krokami wszedł na mównicę. Przywitaliśmy go oklaskami.

Jeden z mistrzów ceremonii wyszedł, stanął obok i go przedstawił.

„Oto dr Hellsius Matton, doktor teologii i profesor Uniwersytetu Kanadyjskiego. Przybył do nas jako doradca Związku Hodowców Zwierząt z Chicago i teraz wskaże braki w naszych argumentach”. Przyjęliśmy go uprzejmymi brawami.

Doktor Matton spokojnie wypił wodę z kolby, wzdrygnął się, objął rękami brzuch, po czym bardzo powoli zaczął mówić:

„Szanowni sympatycy wegetarianizmu. Jest dla mnie prawdziwym zaszczytem uczestniczyć w tym wspólnym zgromadzeniu.

Zamierzam przez około pięć minut, z punktu widzenia teologii, poddać surowej krytyce wasze przekonania. Moja teologia nie jest jednak ograniczona czy wąska. Moja teologia sprowadza się do dwóch prostych zdań: Istnieje jeden prawdziwy Bóg oraz Boża Opatrzność jest niewyobrażalna. Któż spośród was się z tym nie zgadza? Czy wy, którzy chcecie oprzeć się na filozofii średniowiecznej będącej pozostałością dawnych czasów, chcecie by stała się ona światłem dla umysłów w dynamicznych latach dwudziestych XX wieku? Najważniejszym wymogiem religii jest prostota. Nasza filozofia, opierająca się na tych dwóch zdaniach, zgromadziła już szesnaście milionów wiernych na całym świecie. Czy ktoś wierzący w Boga nie zgodziłby się z tymi dwoma zdaniami? Szczegóły dyskusji odłożmy na później”.

Po tym uderzył pięścią w stół, rozejrzał się po sali, która zamarła w ciszy, i kontynuował podniesionym głosem...

„Błogosławiony niech będzie Bóg. Bóg jest prawdziwy i niezmienny, Bóg stworzył wszystko. Natura jest taka piękna! Wiatr nieustannie gra na organach, chmury są jak pomidory albo jak ziemniaki. Kwiaty przy drodze bywają czerwone albo białe. Diament jest twardy, talk – miękki. Pastwiska są zielone, morze zaś niebieskie. Na pastwisku stoją piękne krowy, biegnie stado owiec. W morzu pływają sardynki ubrane na niebiesko, a wieloryby unoszą się na powierzchni. O, jak cudownie stworzone są niebo i ziemia, cała natura! Czy ktoś z was ma co do tego jakieś zastrzeżenia?”

W sali zapadła cisza, nikt nie odpowiedział. Doktor z dumą podskoczył na pięcie i wykonał ręką okrągły ruch.

„Wszystko, co się dzieje, jest Bożą Opatrznością. Wszystko jest Jego wolą. Prawdziwie to jest najwyższa świętość. Chwalmy łaskę Pana, bo Jego wola jest niepojęta. W tym pięknym świecie jemy chleb, nosimy wełnę, len i bawełnę, jemy selera i rzodkiew, a także wieprzo-

winę i łososia. To wszystko jest Opatrznością. To jest łaską. To jest dobrem. Czy ktoś z was ma zastrzeżenia?”

Tym razem doktor rozejrzał się po sali nieco zaniepokojony i błady. Zrobił to dyskretnie, po czym z impetem, jakby uciekając, przeszedł do zakończenia:

„Nie jestem doradcą Związku Hodowców Zwierząt w Chicago ani nikim innym. Przyszedłem tu, aby głosić sprawiedliwość Bożą. Wy wierzycie w Boga. Dlaczego więc Go nie słuchacie? Dlaczego odrzucacie Jego łaskę? Szybko się nawróćcie i bądźcie posłusznymi sługami Bożymi”.

Na koniec doktor ryknął donośnie i jak błyskawica usiadł na swoim miejscu, rozglądając się kątem oka po sali. Rozległy się brawa, ale jednocześnie słychać było śmiechy – niby wszyscy starali się zachować powagę i nie zakłócać świętości miejsca, ale argumenty doktora były tak zabawne, że ostatecznie nie wytrzymali. Najbliżej siedzący wyznawca wstał i zwrócił się do wicedziekana ceremonii, który kiwnął do niego głową. Okazało się, że jest nauczycielem małej szkoły w tej wiosce. Spokojnie wszedł na mównicę i uklonił się uprzejmie doktorowi Mattonowi, a ten zbladł i zadrżał. Następnie pozdrowił całą salę. Rozległy się głośnie oklaski. Nauczyciel zaczął swoją przemowę, w jego głosie dało się wyczuć lekki nowofundlandzki akcent:

„W odpowiedzi na te obce ataki zamierzam, zgodnie z programem, odpowiedzieć przemową religijną... Doktor Hellsius Matton przedstawił typowy przykład sylogizmu. Najpierw przedstawił swoją teologię, dwukrotnie uzyskał jej pełne potwierdzenie od zgromadzonych, czyniąc ją główną przesłanką. Następnie stwierdził, że wegetarianie sprzeciwiają się tej teologii – to była przesłanka poboczna. Wreszcie doszedł do wniosku, że wegetarianie tym samym sprzeciwiają się Bogu, co jest wielkim grzechem popełnionym przez drobne dobro –

czyli dietę roślinną. To bardzo zwięzły i jasny argument. Jednak mam pewne wątpliwości co do tej typowej logiki i jest to dla mnie bardzo niepokojące. Po pierwsze, ta uproszczona teologia, wyjęta z teologii chrześcijańskiej lat 20. XX wieku, jeśli rozpatrywać ją wyłącznie na płaszczyźnie słów, wydaje się odpowiednia. Jednak nie wszyscy zgromadzeni tutaj ludzie są chrześcijanami. Niemniej każda religia ma podobne pragnienia, co więcej, nie jest to nawet wyłącznie teologia doktora Mattona, lecz coś powszechnego.

Po drugie, największe wątpliwości mam co do interpretacji tej teologii. Szczególnie w kwestii opatrności doktor nie może być uznany za osobę wierzącą. Pojęcie opatrności nie należy wyłącznie do chrześcijaństwa – jest powszechne w wielu religiach. Jednak niewłaściwa interpretacja tego pojęcia przez kogoś takiego jak doktor Matton zdarza się w każdej religii i to często. Pozwolę sobie jeszcze raz przytoczyć jego wypowiedź, którą zanotowałem: ‘Wszystko, co się dzieje, jest Bożą Opatrnością. Wszystko jest Jego wolą. Prawdziwie to jest najwyższa świętość. Chwalmy łaskę Pana, bo Jego wola jest niepojęta. To wszystko jest Opatrnością. To jest łaską. To jest dobrem’. Podsumowując, oznacza to, że zjawiska są dobrem, bo opatrność boska nad nimi czuwa. To może się wydawać w porządku, ale jest też bardzo niebezpieczne. To dobro jest jednak widziane z perspektywy Boga – jest absolutnym dobrem. Jeśli zaczniemy je interpretować z naszej perspektywy, rodzi to te same problemy, które widać w wypowiedzi doktora Mattona. Wszystko jest dobre, więc jeśli jem wołowinę, to jest to dobre; jeśli się złościsz i uderzysz doktora Mattona, to jest dobre, bo to też jest zjawisko, nad którym czuwa boska opatrność; jeśli grożę wam pistoletem i zabieram wasze pieniądze na podróż, to jest dobre; jeśli ktoś mnie do czegoś zmusza i mu się to nie uda, to strzelam i ktoś umiera – to też jest dobre.

Co jeszcze ciekawsze, to właśnie wegetarianie mówią, że nie jedzą mięsa, co też jest wyrazem boskiej opatrności i jest dobre, a jednak doktor Matton reaguje na to z taką złością, że aż włosy stają dęba. To pokazuje, że jego argumentacja jest sprzeczna sama w sobie. Ta konkluzja jest bardzo trafna i choć nie jest to moja wypowiedź, znalazłem ją dziś rano w ulotce promującej spożycie mięsa, wydanej przez Związek Hodowców Zwierząt w Chicago. Na koniec pragnę wyrazić głęboki szacunek dla odważnego doktora Mattona”.

Publiczność nagrodziła to oklaskami tak głośnymi, jakby namiot miał się zaraz rozlecieć.

„Było to dość dosadne, a wegetarianie wcale nie są zbyt podobni do nauczycieli” – powiedział pan Chen z głośnym śmiechem.

Lecz zanim jeszcze ucichły oklaski, z rzędu niewiernych podszedł do mównicy szczupły, nerwowy człowiek. Cały się trząsł i strzelał oczami na boki. Po wypiciu szklanki wody nieco się uspokoił. Wyszedł naprzód i rozpoczął przemowę.

„Teologia doktora Mattona to teologia chrześcijańska. Zgadzam się z poprzednim mówcą, że jego interpretacja opatrności jest problematyczna. Jednak wiem, że około jedna dziesiąta zgromadzonych tutaj wegetarian to buddyści. Sam również jestem buddystą. Powodem, dla którego wierzę w buddyzm, choć urodziłem się w kraju chrześcijańskim, jest jego głęboka mądrość. Jestem wyznawcą szkoły Honganji, objawionej przez mistrza Sinrana, inkarnację Buddy Amitaby. Jako buddysta pragnę skierować słowo do moich towarzyszy, buddyjskich wegetarian. Ten świat jest cierpieniem. Wszystko, co istnieje w tym świecie, jest cierpieniem. To miejsce pełne sprzeczności i zła. Nie możemy odnaleźć w naszych sercach choćby śladu dobra. To, co uważamy za sprawiedliwość, to w gruncie rzeczy jedynie przyjemność dla nas samych. Nie istnieją żadne ‘powinno być tak’ czy ‘powinno być inaczej’. Nie możemy powiedzieć: ‘Ochrona zwierząt

jest naszą troską'. Sprawy mają się znacznie poważniej. Dopiero ponowne zjednoczenie z Oświeconym Buddą i Zbawicielem Amitabą, który zamieszkuje Zachodnią Krainę, pozwoli nam opuścić ten świat sprzeczności. Dopiero wówczas wegetarianizm może mieć sens. To nie jest kwestia dyskusji. Nasz wielki nauczyciel i inkarnacja Buddy, mistrz Sinran, sam spożywał mięso i od tego czasu szkoła Honganji od pokoleń kontynuuje tę praktykę. Można to porównać do przelania wody z jednego naczynia do drugiego.

Spójrzcie również na założyciela buddyzmu, Śiakjamuniego. Porzucił świat w poszukiwaniu wyzwolenia i przez sześć lat praktykował surową ascezę w lesie Dantalokagiri. Spożywał jedynie jedno ziarno ryżu i jedno ziarno lnu dziennie. Zrozumiał jednak, że ta surowa praktyka nie przynosi efektów, więc zszedł z góry, umył się w rzece i przyjął kleik ofiarowany mu przez wiejską kobietę, co wprawiło go w stan ekstazy – duchowej radości.

Dziś istnieją wegetarianie, którzy odmawiają nawet mleka, jajek, sera czy masła. Jeśli są prawdziwymi buddystami, to powinni ich stanowisko zaakceptować, a jeśli nie, mogą wziąć to pod uwagę jako wskazówkę.

Co więcej, Śiakjamuni nigdy nie zakazywał swoim liczным uczniom jedzenia mięsa. Pozwolił jeść tzw. pięć rodzajów czystego mięsa – mięso pozyskane bez okrucieństwa. Dzisiejsi wegetarianie są bardziej rygorystyczni pod względem jedzenia niż starożytni indyjscy święci. Jednak jest to patologia – rygorystyczna tylko w kwestii jedzenia, podczas gdy nie przestrzega się innych przepisów ustanowionych przez Buddę.

Dla was, wegetarianie, szczególnie ważne jest, abyście zapamiętali – pod koniec swojego życia Budda nie był wegetarianinem. Ostatnie jedzenie, które przyjął od kowala Ciendy, zawierało głównie wieprzowinę. Pomimo tej potrawy Budda najwyraźniej nie był w stanie

uratować swojego chorego żołądka i ostatecznie odszedł w parinirwanę w Kusinagarze w wieku osiemdziesięciu jeden lat.

Buddyści, naśladowcie Buddę, wzorujcie się na jego czynach! Bądźcie mu podobni, ćwiczcie się w jego cnotach, choćby w skali dwudziestotysięcznej, pięćdziesięciotysięcznej lub dwustutysięcznej! Wtedy vegetarianizm będzie jak najbardziej odpowiedni. Zaś wy, zdeformowani wyznawcy... prawdopodobnie nawet Budda pod ziemią miałby z waszego powodu kłopoty”.

Brawa niemal unosiły namiot do góry. Od tych strasznych słów poczułem, że kręci mi się w głowie i na chwiejnych nogach wyszedłem z namiotu.

Kiedy zdałem sobie sprawę, co miałem powiedzieć, już stałem na mównicy i patrzyłem na wszystkich z góry. Pan Chen klaskał entuzjastycznie z najdalszego końca pokoju, a wszyscy wyglądali jak kwiaty na łące. Zacząłem tymi słowy:

„Poprzedni mówca, choć buddysta, odrzucił vegetarianizm i głosił mięsożerność, niestety ja, jako pobożny uczeń Buddy, muszę wskazać błędy w jego tezach.

Po pierwsze, co muszę zaznaczyć już teraz: ów mówca, który tak naprawdę wykazuje jedynie kolekcjonerskie, nostalgiczne zainteresowanie zepsutą japońską instytucją religijną, nie jest prawdziwym uczniem Buddy ani buddystą. Jest to zupełnie jasne, gdyż podczas przemowy posłużył się niedopuszczalnymi słowami wobec Tathagaty. Zwracam tu uwagę szczególnie na jego ostatnie zdanie: ‘nawet Budda pod ziemią miałby z waszego powodu kłopoty’ – cóż to za słowa? Czy ktoś wierzący w Buddę mówi, że Budda jest pod ziemią? My nigdy nie możemy dopuścić, by ktoś taki, udający ucznia Buddy, ale mający w sercu zło i nikczemność, był wśród nas. Patrzcie, on próbuje zmierzyć Najwyższy Raj posługując się swą wiedzą, która jest ledwie jak ziarnko maku. Powtórzę jego argument, choć to

dla mnie wstyd, ale dla wyższego celu, jakim jest dowód, muszę to wskazać: on mówi, że ‘powodem, dla którego wierzę w buddyzm, choć urodziłem się w kraju chrześcijańskim, jest jego głębia’. Pytam chrześcijan zgromadzonych tutaj – czy zaakceptowalibyście takie twierdzenie: ‘powodem, dla którego wierzę w chrześcijaństwo, choć urodziłem się w kraju buddyjskim, jest jego głębia’?

Zapewne odczulibyście niechęć i poczuli się tak, jakby was lekceważono. Ja mówię, że nie sposób wskazać, który z tych poglądów jest głębszy, zwłaszcza u takiego mówcy.

Po drugie, mówca wypowiadał się o dobru w naszym świecie: ‘Dobro jest w istocie korzeniem bez korzenia’ – zapewne miał na myśli, że dobro nie istnieje bez mocy Buddy, i ja w to wierzę. Mówił też, że nie ma czegoś takiego jak ‘powinno być tak’ czy ‘powinno być inaczej’ – i ja również myślę podobnie, jeśli nie jest to oparte na woli Tathagaty, ale na naszym własnym rozumowaniu. Wygląda na to, że mówca miał na myśli właśnie to. Lecz radził też szybko zjednoczyć się na powrót z Oświeconym Buddą w Zachodniej Krainie, co w buddyzmie jest tematem wielu sporów, których teraz chcę uniknąć. My, buddyści, postanawiamy najpierw kierować się nauką Buddy zapisaną w sutrach. Sutry uczą o ‘pięciu czystych rodzajach mięsa’, które jest dozwolone jedynie dla niedoświadczonych praktykujących – wyraźnie o tym mówi *Sutra Lankawatara*. Jednak w *Sutrze Nirvany* nawet to jest później zakazane – odtąd mnisi nie mogą jeść mięsa. I te ‘pięć czystych rodzajów mięsa’ to nie jest coś tak prostego, jak mówił poprzedni mówca, że jest to po prostu mięso, które zdobyliśmy bez okrucieństwa.

Na temat diety w buddyzmie istnieją rozmaite poglądy i ktoś inny miał się tym zająć, więc ja tutaj pomijam ten temat. Lecz na koniec chcę odpowiedzieć poprzedniemu mówcy, który twierdził, że ostatnim posiłkiem Buddy było mięso wieprzowe.

Jaka to pomyłka! To nie mięso wieprzowe, lecz rodzaj grzyba. Błądnie to zinterpretował na podstawie podobieństwa fonetycznego sanskryckich słów. Tu kończę i odnoszę się do wniosków poprzedniego mówcy.

Buddyści, naśladowajcie Buddę, wzorujcie się na jego czynach! Stawajcie się jego podobieństwem, uczcie się jego cnót, choćby w skali dwudziestotysięcznej, pięćdziesięcioletniej lub dwustutysięcznej! Och, jak lekkomyślne są te słowa! Mówię to osobiście i wstydzę się, że je wypowiedziałem.

Następnie zamierzałem omówić, z punktu widzenia ducha religii, dlaczego jest oczywiste, że nie należy spożywać mięsa. Duch chrześcijaństwa można streścić krótko: jest to miłość Boga. Mówienie, że Bóg stworzył niebo i ziemię, jest przecież w istocie przerośniętym, wyrażeniem skierowanym do nas. Nie trzeba wywodzić błędnych teorii o opatrności, jak robi to doktor Matton. Ostatecznie chodzi o miłość – miłość do wszelkich przejawów życia. Jakże więc zabijanie i jedzenie tych istot mogłoby być czymś oczywistym?

Z kolei duch buddyzmu opiera się na współczuciu – jest to współczucie Tathagaty, miłość wyposażona w doskonałą mądrość. Punkt wyjścia buddyzmu jest taki, że wszystkie istoty żywe cierpią i tkwią w bólu, tak samo jak my, i wspólnie z tymi wszystkimi istotami pragniemy uwolnić się z cierpienia.

Kim są te istoty? To pytanie jest tak poważne, że może zranić nasze serca, ale jest to prawda, której nie da się uniknąć, dlatego postanowiłem mówić otwarcie. Wszystkie istoty żywe od niezliczonych eonów uwikłane są w cykl powtarzalnych przerośleń. Ten cykl można podzielić na dziewięć stopni. My widzimy naocznie dwa z nich. Dusza raz pojawia się jako człowiek, innym razem jako zwierzę – czyli istota zwana przez nas „bestią”. Innym razem odradza się w niebiosach. Pomiędzy tymi stanami duszy zbliżają się i oddalają – są to przy-

jaciele, kochankowie, rodzeństwo, rodzice i dzieci. Gdy się rozstają i oddziela je kolejne życie, nie znają się nawzajem. Nieskończoność daje nieskończone kombinacje. Dlatego wszystkie istoty wokół nas są naszymi dawno niewidzianymi braćmi i siostrami. Niewierzący mogą uważać tę myśl za zbyt poważną i przerażającą. Jednak ten świat jest tak naprawdę bardzo poważny. I o tym chciałem mówić”.

Ukloniłem się i zszedłem z mównicy, rozległy się oklaski. Nawet teologowie siedzący po stronie pogańskiej nie wyglądali na chętnych do dalszych dyskusji. Ale wśród nich nie wszyscy byli teologami. Nagle wstał stamtąd człowiek z wyglądu podobny do Haeckla, z dużą blizną na czole. Pomyślałem, że na pewno jest zoologiem, ponieważ rano czytałem w programie, że ma się ktoś taki pojawić. Zacerwieńniony, szybko podbiegł do mównicy. Oklaskiwaliśmy go z życzliwością. Trzęsącymi się rękami nalał sobie wody do szklanki i wypił, ale trochę wylało się na zewnątrz. Drżał tak bardzo, że zacząłem się zastanawiać, czy nie cierpi na nerwicę. W końcu się uspokoił. Zaczął coś cicho szeptać, lecz mówienie sprawiało mu wyraźną trudność. Wszyscy zamilkli. Nagle wybuchnął i zaczął się jękać:

„Cz-cz-czemu, czemu, czemu wy, choć mówicie, że nie jecie zwierząt, na n-n-n-nosicie kapelusze z wełny owiec?”

Emocje tak go poniosły, że szklanka znów mu zadrżała w ręku, po czym nerwowo napił się wody. To było coś! W namiocie rozległ się gromki śmiech.

Pan Chen także zaczął bić brawo i aż się pokładał ze śmiechu, po czym powiedział:

„Wygląda dokładnie jak John Hilgard”.

„A kto to jest John Hilgard?” – zapytałem.

„To aktor komediowy, występuje na scenie w Nowym Jorku. Ale Hilgard nie ma takiej blizny między brwiami jak ten człowiek”.

„Rozumiem”.

Po tym zapanowała cisza. Nikt już nie wstał, by przemawiać – ani ze strony pogan, ani innych frakcji. Zastępca kapłana rozejrzał się po sali, czekając, aż hałas ucichnie, a potem spokojnie podszedł do pogan. Wyglądało to tak, jakby pytał, czy ktoś będzie jeszcze przemawiał, lecz nikt się nie odezwał, więc po chwili pokłonił się i wycofał.

„Wygląda na to, że całkowicie się poddali” – powiedział do mnie pan Chen.

Poczułem radość – wojska chicagowskie, które wydawały się takie silne, tak łatwo zostały rozbite. Choć zabrzmi to jak komentarz z baseballu, tak to właśnie wyglądało.

W tym momencie rozległ się dzwonek, a jego czysty dźwięk długo rozbrzmiewał w powietrzu. Jego czysty, dźwięczny ton przywrócił moje podniecone serce ponownie do przejrzystego, niemal jakby nowofundlandzkiego wrześnieowego nastroju. Najwyraźniej wszyscy inni czuli to samo.

Pan Chen wstał i chciał wejść na mównicę ale ubiegł go doktor teologii, uklonił się i powiedział ze smutkiem:

„Panowie, dziś się dowiedziałem, jak wielka i głęboka jest wola Boża. Na początku byłem chrześcijaninem, który spożywa mięso. Teraz przyszedłem na tę uroczystość i Bóg nakazał mi być pobożnym wyznawcą wegetarianizmu. Proszę was, starsi panowie, wybaczenie mi moją ignorancję i przyjmijcie mnie jako waszego brata w tym czystym zgromadzeniu”.

Po czym zszedł z mównicy, uklonił się i stanął obok z opuszczoną głową.

Zastępca kapłana natychmiast podszedł i uściśnął mu rękę. Radowano się, gorąco okłaskując nowego wyznawcę. Po stronie pogan natomiast zapanował totalny chaos. Wszyscy nagle wstali i razem weszli na mównicę, skandując zgodnie:

„Pokutujemy! Przebaczcie nam! My także zostaniemy wegetarianami!”

Zastępca kapłana od razu do każdego z osobna podchodził i podawał mu rękę. Jeden po drugim schodzili z mównicy i zajmowali swoje krzesła. Halę wypełniały wiwaty i brawa. Krzesel dla nikogo nie zabrakło – wszystko ułożyło się wprost idealne. Wtedy na zewnątrz znów rozległ się huk – znak od pana Chena. Właśnie wszedł on do środka, lekko się uklonił, spojrzał na drugą stronę i powiedział: „No proszę, wszyscy się nawrócili. Tak szybko i łatwo... I krzesła są wszystkie zajęte... o, ale jedno zostało puste... Tak, to ten gość podobny do Hilgarda jeszcze się trzyma”.

Rzeczywiście, ostatni komik, który wystąpił wcześniej, siedział samotnie na miejscu pogan, załamując ręce i drapiąc się po głowie, jakby przygniatały go troski. Wszystkich bardzo to rozśmieszyło.

„Cóż tego faceta tak bardzo zaprzęta? – rzucił pytanie pan Chen.

Człowiek ten w końcu wstał i wszedł na mównicę:

„Panowie, myliłem się. Błądziłem. Od dziś zostanę wegetarianinem. Chyba już od dawna nim byłem, ale chyba pomyliłem miejsca, a skoro siedziałem na miejscu pogan, to i wygłosiłem tę przeciwną mowę. Proszę was o wybaczenie. Wydaje mi się, że wszyscy, którzy wcześniej siedzieli po stronie pogan, po prostu się pomylili, więc teraz siedzą na miejscach wyznawców. Prawda?”

Ku mojemu zdumieniu, doktor teologii i wszyscy naraz wstali i odpowiedzieli chórem:

„Tak, to prawda”.

„W takim razie muszę wrócić do moich prawdziwych przekonań. Może już wiecie, że nazywam się John Hilgard i gram w teatrze w Nowym Jorku. Dzisiaj, na prośbę zastępcy kapłana, wystąpiłem tu, by rozbawić to zgromadzenie. Jeśli ktoś poczuł się moim przedsta-

wieniem urażony, proszę zwrócić swoje strzały krytyki do zastępcy kapłana. Ja jestem tylko słabym wiernym”.

Hilgard uklonił się i szybko zszedł z mównicy, po czym szybko zajął to jedyne wolne miejsce.

„Zostałem całkowicie pokonany” – śmiał się pan Chen, a salwom śmiechu, wiwatom i brawom nie było końca. Ja jednak byłem zaskoczony takim szybkim zakończeniem. Byłem całkiem zdezorientowany i zdziwiony, że złudzenie, jakim było wspaniałe święto wegetarian, prysło. Proszę, resztę możecie sobie wyobrazić sami – jak na starym filmie: jakiś końcowy taniec czy coś podobnego. Sami sobie zinterpretujcie i dokończcie tę historię.

Ilustracja na stronie otwierającej: zwierzęta w świątecznym pochodzie (opis przedstawienia). Praca przypisywana Kawanabemu Kyōsaiowi, Tokio, 1879. Zbiory British Museum, nr 1881,1210,0.1864. Reprodukcja: © The Trustees of the British Museum; CC BY-NC-SA 4.0, zgodnie z ogólnymi zasadami muzeum dla reprodukcji. Ilustracja bez retuszu i dodatkowego kadrowania.

Przekład: Łukasz Szpunar. Udostępniono na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowa (CC BY-SA 4.0). Ilustracje podlegają odrębnym warunkom wskazanym przy ich źródłach.

Skład: Pandoc, L^AT_EX (X_YL^AT_EX), EPUB 3, CSS.

Tekst dostępny na stronie: mahajana.net